

Kronika tygodniowa.

W *postscriptum* poprzedniej kroniki kronikarz *Nowości* wyraził najwyższe swoje uznanie ministrowi Zaleskiemu za jego mowę, wygłoszoną na posiedzeniu Koła polskiego. Ponieważ jednak było to *postscriptum*, przeto brak miejsca nie pozwalał uzasadnić, czemu minister Zaleski ujął sobie czułe serce kronikarza. Oczywiście nie tem, że zapowiadał nowe podatki, ale przede wszystkim tem, że całe jego przemówienie nosiło cechę dobrego zrozumienia obowiązków, ciążyących na ministrze dla Galicji. Następnie było w jego mowie dużo ciepła, szczerości, było i dobre odczucie stosunku, jaki powinien panować między Kołem a ministrem galicyjskim. Była dalej pewna doza odwagi, bo p. Zaleski bez ogródki potępił zaniedbanie Galicji przez dawne rządy, zaznaczył, że ją uważano za kolonię lub za dobry rynek zbytu dla towarów austriackich. Minister nie wahał się przyznać, że lekceważono nieraz w Wiedniu uchwały sejmu, że krępowano jego działalność. Również bardzo ładnie i rozumnie mówił o przemyśle, rolnictwie, kanałach, emigracji, autonomii, stosunkach polsko-ruskich i t. d. Ale, gdyby kronikarz był członkiem Koła polskiego, to popuchtyby mu ręce od okłasków przy tym ustępie mowy ministra, w którym dał grzeczną naukę naszym partyjnym politykom. „Egoizm narodowy (mówił) jest pierwiastkiem łączącym, egoizm partyjny zaś pierwiastkiem burzącym, stąd też mówca zapewniał, że będzie się strzedz choćby cienia egoizmu partyjnego”.

Możemy sobie wyobrazić, jakie rzadkie miny przy tych słowach mieli nadwiślańscy i nadpeltwiańscy mężowie stanu. Do tej ogromnej mniejszości, co wyjątkowo miała miny gestsze, należał bezwarunkowo poseł Stanisław Łazarski, jako jeden z tych nielicznych „dzikich”, co usunął się ze związku partyjnego, przekonawszy się dostatecznie, że stronnictwa są... stronnictwa, że im idzie przede wszystkim, a nawet jedynie, o dobro własne, a właściwie nawet nie o dobro swego stronnictwa, lecz o karierę kilku jednostek bez zasad, które pod marką obrońców pewnych przekonań, swarząc się i warcholąc, lub sprytnie „dyplomatużując”, dążą do zdobycia stanowisk wpływowych i dobrze „ukoronowanych”.

I nie myślał zapewne poseł Łazarski, słuchając mowy ministra Zaleskiego, że za kilka dni jego „dzikość” nagrodzona zostanie najwyższym dostojenstwem z wyboru, najwyższym moralnym stanowiskiem, jakie w naszych czasach może przypaść w udziale Polakowi, będącemu obywatelem ściślejszej c. k. galicyjskiej ojczyzny. Prezesura Koła polskiego w rękach dra Łazarskiego, to jeden z tych nieoczekiwanych przypadków, które zawodzą wszelkie logiczne obliczenia. Żyjemy bowiem w czasach zaniku indywidualności; tylko w teorii ibsenowskiej najmocniejszy jest ten, co sam stoi. Dziś bez podwórki jakiegos stronnictwa, bez oddania mu lub jego ludziom poważnych usług, bez lokajstwa różnym bōżkom, lub bez przyrzeczeń swoim przyjaciółom politycznym, naprzód wysunąć się nie można. Byłe miernota, należąca do jakiegos obozu, ma większą przyszłość przed sobą, niż najzdolniejszy człowiek niezawisły, pragnący mieć swym panem tylko własne sumienie. Ręka rękę myje — oto zasada, której się trzyma każdy „praktyczny” polityk nietylko w Kole polskim i sejmie, ale nawet w radach miejskich i powiatowych. Stąd nikomu na myśl nie przyszło, aby jakiś „dziki” mógł uchwycić ster rządów w naszej delegacji wiedeńskiej. A ponieważ żadne stronnictwo nie ma w Kole większości, szło więc tylko o to, jakie zawrą się sojusze, jaka i dla kogo sztuczna większość się utworzy. Kiedy rozbiły się układy p. Stapińskiego z demokracją narodową i przywódca ludowców osiadł na łodzie, kiedy p. Kozłowski i Starzyński zrzekli się (a raczej ich się zrzeknięto), było już prawie pewnem, że prezesem zostanie poseł Stwiertnia, ale zdradziło go kilku jego własnych towarzyszyw broni; każdy z nich podobno zapytywał się siebie: czemu on, a nie ja? Ta zdrada we własnym wściekle demokratycznym obozie wysunęła kandydaturę dra Germana, świeżego zdrajcy demokracji narodowej. Zdrady tego rodzaju u nas uchodzą i są nawet dobrze widziane, ale ta była zbyt świeża, więc zagrożono popierającym tę kandydaturę ludowcom i konserwatystom, że rozpocznie się w Kole walka na śmierć i życie. W tem położeniu rzeczy żaden kandydat nie widział zapewnionej dla siebie większości. Wówczas Duch św. zstąpił na któregoś z posłów (nazwiska jego niestety nie znamy) i ten zaproponował wybór „dzikiego” Łazarskiego. Zapanowała ogólna zgoda i radość. Nie z tego radość, że Łazarski będzie preze-

sem, ale że nie będzie nim inny; ci się cieszyli, że nie German, tamci, że nie Kozłowski, a jeszcze inni ci i tamci, że nie Stwiertnia ani Starzyński.

Tym sposobem doszła „dzikość” do władzy: i prezesem Koła jest dziki i ministrem dla Galicji jest dziki. A przy pierwszego wyborze a drugiego nominacji wyszły na jaw różne dzikie rzeczy. Przypomniano sobie, jak to p. Biłński (dzięki bogu ex-minister) będąc prezydentem dyrekcji kolei państwowych, prześladował p. Stwiertnię, jak to na żądanie K. Badeniego przeniósł go do Salzburga, bo w Stanisławowie był niebezpiecznym jako szerzyciel oświaty między robotnikami. Przypomniano sobie również, że ś. p. namiestnik Potocki przed trzema laty zwalczał z całą zaciętością „niebezpieczną” kandydaturę poselską obecnego prezesa Koła dra Łazarskiego. Wyszło też na jaw, dlaczego p. Kędzior, dyrektor biura melioracyjnego w wydziale krajowym, nie został ministrem, choć go Koło przedstawiło jako swego kandydata. Oto p. Bienenrth za radą dra Bołbrzyńskiego spytał się marszałka Badeniego o jego kwalifikacje i otrzymał odpowiedź, że p. Kędzior jest człowiekiem, pozbawionym wszelkich zdolności. Złośliwi widzą w tem sprzeczność, bo czyż można człowieka bez zdolności trzymać na czele tak ważnej instytucji, jak krajowe biuro melioracyjne? Ale złośliwi nie wiedzą o tem, że z pana marszałka jest figlarz pierwszego stopnia. Jego zła opinia w tym wypadku jest najlepszą opinią. Nie twierdzimy tego gołosłownie. Przed laty mniej więcej dziesięciu, kiedy tworzone wydział rolniczy na uniwersytecie krakowskim, a trudno było obsadzić katedry, zgłosiła się *Alma Mater* do Wydziału krajowego z zapytaniem, czy w biurze melioracyjnym niema kogo odpowiedniego do zajęcia stanowiska profesora rolnictwa. Referent zapytał p. marszałka, co odpowiedzieć uniwersytetowi. „A no, trzeba by im dać kogoś... jak pan sądzi, kogo?” zapytał marszałek. Referent wymienił nazwisko. „O nie! (zauważył marszałek) to człowiek bardzo zdolny, szkoda by go nam było!” I drugie nazwisko, wymienione przez referenta, spotkało się z podobną uwagą. „Ale, ale (zawołał wreszcie marszałek) skorzystajmy i pozbadźmy się tego niedołęgi Xa (*nomina sunt odiosa*), który nam tylko zawadza...” I X. został wkrótce dręczycielem jednej z katedr studium rolniczego. — Za zupełną autentyczność tej rozmowy kronikarz odpowiadać nie może, ale głośno o niej było niegdyś w Krakowie i (co ważniejsza) autentyczna czy podsunięta marszałkowi opinia o Xie, znalazła w Krakowie zupełne potwierdzenie. Stąd wniosek, że jeżeli przytoczona anegdota jest prawdziwą, to p. Kędzior nie został jedynie dlatego ministrem, iż p. Badeni nie chciał się pozbyć zdolnego urzędnika.

Obecnie weszła w ruch „fabryka opinii” na korzyść hr. Antoniego Wodzickiego. Wiadomo, że p. Daszyński wytoczył na forum Rady miejskiej sprawę frymarki rydzynskiej i że wskutek tego wybrano komisję, mającą ocenić, o ile są słuszne czynione hr. Wodzickiemu ciężkie, ubliżające godności Polaka zarzuty. Czy ten „sąd obywatelski” został trafnie wybrany, czy składa się z ludzi odpowiednich, czy orzeczenie kilku radców miejskich, mało znanych i mało wybitnych, może stać się dla ogółu werdyktem, od którego niema odwołania, z góry powątpiewać należy, mimo że, jak zapowiada *Czas*, sprawa dostała się „przed właściwe forum” i „będzie wszechstronnie oświetlona”. Owszem, ta zapowiedź już z tego powodu największe budzi wątpliwości, że wyszła ze strony organu „zaprzyjaźnionego” z JE. Wodzickim. Co więcej, dowiadujemy się, że na rzeczoznawcę zaproszono dra Loewensteina, który jest współoskarżonym w sprawie rydzynskiej. Ale nie przesądzając wyniku rozprawy przed trybunałem Rady miejskiej, musimy zaznaczyć, że się już urabia opinia zapomocą przyjacielskich telegramów. W *Kuryerze Warszawskim* z dnia 21 stycznia czytamy telegram z Krakowa: „Na zwołanej wczoraj naradzie specjalnej posłów (?) oraz ziemian (?) przedstawili... adwokat hr. Wodzickiego Loewenstein dokumenty w sprawie rydzynskiej. Zebrani uznali *jednomyślnie*, że Wodzickiemu nic nie można zarzucić w tej sprawie a zarazem, że tróć dokumentów *nie może być na razie opublikowanych*” i t. d. Otóż dziwna rzecz, że my tu w Krakowie do dziś dnia nic nie wiemy o jakimś zebraniu posłów i ziemian (?) w d. 20 stycznia, a *Kuryer Warszawski* miał już 21 stycznia wiadomość i o tem i o jego jednomyślnem orzeczeniu.

Dziwna też rzecz, że *Kuryer Warszawski* dał się użyć do tego rodzaju agitacji, nie mniej jest dziwnem, że dokumenty *nie mogą* być opublikowane — tę bajeczkę już dawno pusił w kurs współoskarżony Dziembowski, a powtarzał ją współoskarżony Loewenstein. Ale choć *nie mogą*, to jednak najważniejszy, decydujący dokument poznaliśmy już

dzięki *Słownu Polskiemu*. Wydrukowało ono w całości układ, zawarty między rządem pruskim, Sułkowskimi, Loewensteinem jako zastępcą hr. Henryka Potockiego i „Jego Ekscellencyą rzeczywistym tajnym radcą, członkiem austriackiej Izby panów, c. k. podkomorzym Antonim hr. Wodzickim na zamku Kościelec”. Sułkowscy otrzymali od rządu prawo podniesienia pewnych sum do ordynacji należących, czyli zostali zapłaćeni odrazu gotówką. Hrabowie Wodzicki i Potocki zrzekli się swych praw i zobowiązań się niczego nie podejmować, co by utrudniło uchwały, udaremniło je, kwestyjonowało”. Natomiast rząd pruski, reprezentowany przez tajnego radcę Fleischera, zobowiązał się „za oddane świadczenia” wypłacić Wodzickiemu i Potockiemu sumę odprawną (*Abfindungssumme*) w kwocie połowy wartości przypadającego na państwo majątku ordynacji. — Dokument ten wystarcza — żadnych trybunałów, lub sądów honorowych zupełnie nie potrzeba. Rzecz jasna wszelkie sądy jedynie zaciemnić mogą.

Przejdźmy do rzeczy weselszych. Zanotować na przód należy wesołą wojnę, toczoną o kanały pomiędzy dziennikami lwowskimi a krakowskimi. Pierwsze twierdzą, że kanał Dunaj Wisła przyniosłby więcej szkody niż pożytku, a koniecznością jest wybudowanie Wisła Dniestr; drugie zaś zaklinają się, że bez kanału Dunaj Wisła całkiem na psy zejdziemy, a kanał Wisła Dniestr jest „przedsięwzięciem fantastycznym”. Ta polemika została, zdaje się, zamówiona przez bar. Bienenrtha, który opierając się na dziennikach lwowskich, wykazuje szkodliwość kanału od Dunaju do Wisły, a cytatały z dzienników krakowskich udowodni fantastyczność połączenia Wisły z Dniestrem. Rzecz to wesoła, ale i smutna — pokazuje się, że nie wiemy nawet, o co nam idzie, jakiego nam kanału potrzeba. Zaściankowość i tu występuje w całej pełni: nie traktujemy sprawy ze stanowiska ogólnego dobra kraju, ale ze stanowiska interesów Lwowa i Krakowa. Dlatego to kronikarz byłby przede wszystkim za budową kanału moralnego Lwów-Kraków, któryby ściślej połączył duchem dzierzawy, zostające pod błogosławioną władzą Ciuchcińskiego z krajami, żyjącymi pod słodkim panowaniem dra Lea.

Drugą wesołą wojną była walka znawców o to, co zrobić z ofiarowaną naszemu miastu przez p. Halskiego rzeźbą Wita Stwosza, czy ją zostawić na miejscu dotychczasowem, czy przenieść do Muzeum Narodowego. Zanościło się na wielką awanturę, na drugą Barhakaniadę, bo pokłócili się między sobą członkowie cechu, *zawazę* z niestychanej *prawaści* siebie i Leonidasowego bohaterstwa. Na szczęście dotychczasowy właściciel rzeźby przeciął spór jedynym zamachem: wyjął rzeźbę z kamienicy i odesłał ją do Muzeum. Sic transit gloria Muczkowsciana.

Podoba mi się ta energia. Mniej natomiast podobają mi się: p. Dłuski w Zakopanem i mięso argentyńskie w Krakowie. I tu i tu coś nie pachnie. Pan Dłuski najniawniej w świecie przestraszył się zamachu na zakład leczniczy, którego nikt (zamachu nie zakładu) nie projektował i przez swą „odwagę” pozbawił wolności i chleba biednego, skołatanego życiem, pragnącego już tylko ciszy i spokoju, doktrynera. A mięso argentyńskie „czuć” podwójnie: naprzód podobno wogóle nie pachnie na miejscu sprzedaży, a następnie jeszcze silniej nie pachnie swą ceną wygórowaną: jest znacznie droższe w Krakowie niż we Lwowie, mimo że Lwów ponosi większe koszty transportu. Ktoś chciał lbo przysłużyć się rzeźnikom, albo brzydko wyzyskać biedniejszą ludność Krakowa.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

RESTAURACJA w HOTELU SASKIM w KRAKOWIE
z 5-ma stylowymi gabinetami.
Codziennie **KONCERT** muzyki salonowej